

PS

Na warszawskich zegarach wybiła godzina szósta. Porucznik Aleksander Ostrowski i sierżant Mirosław Świerczyński jak co dzień siedzieli w pracy i zapijali sen kawą. Patrzyli przez okno, za którym niezdecydowana pogoda to przyprószała śniegiem, to kropiła deszczem.

- Od niedawna Warszawa zaczęła być inna. Jakby nieswoja. Na domiar złego wszyscy ciągle są na zwolnieniach.

- *Widzi pan, panie poruczniku – rzekł sierżant - ja cały tydzień jestem na nocnym dyżurze. Za chorego kolegę. I jeżdżę. Za każdym razem zastaję kogoś powalonego piorunującym upper-cutem w szczękę, ze zmasakrowanym podbródkiem, skopanego bezlitośnie. Za każdym razem nikt ze świadków zajścia nie potrafi wytłumaczyć, co się stało, kiedy i jak, kto był sprawcą. Wszyscy bredzą o jakimś cieniu, szybkim jak błyskawica, nieuchwytnym, jak mgnienie oka, o błysku ciosu, pięści, o jakimś kształcie zamazanym, niewyraźnym, piekielnie zwinnym. Raz mówią o mocarnej postaci, innym razem o kimś niewielkiego wzrostu, nic nie można z tego pojąć, uchwycić, ująć, sprecyzować, kto to jest, jakim chociaż może być... Nie wie się nic, nic i nic. Jedno jest tylko pewne: za każdym razem na ziemi pozostaje ciało uszkodzonego, a tym uszkodzonym jest niezmiennie ktoś w stylu pańskiego dzisiejszego klienta. A więc zawsze napastnik, zawsze prowokujący, zawsze łobuz, pozostaje na placu jako bezwładna, nieprzytomna, skatowana ofiara.*

- Bezlitosna persona z tego Złego. Spotkałem w mej karierze wiele osób, ale ten jest jedynym szablonowym przykładem wyznawcy zasady "cel uświęca środki", jaki dane mi było spotkać. O ile mamy rację, atakuje, aby wystraszyć łobuzów. Choć cel ma słuszny i z tak dużą motywacją mógłby wiele zdziałać, to wybrał niewłaściwie środki.

- Dodatkowo pracę utrudniają opisy. Niewiele mówiące, wykluczające się nawzajem.

Mniej więcej w połowie picia kaw zadzwonił telefon. Odebrał pan Świerczyński.

- Dzień dobry. Z tej strony Kazimierz Waligóra - powiedział niski głos z drugiej strony słuchawki. - Znajduję się na skrzyżowaniu ulicy Rybnej z Malinową. Jestem świadkiem brutalnej bójki poprzedzonej gonitwą. Podejrzewam, że to sprawka Złego.

- Niedługo tam przybędę.

Pan Waligóra rozłączył się.

- Co znów?

- Zły.

- To niech pan już idzie. Ja zostanę tu, na wypadek, gdyby w końcu zmądrzał i sam przyszedł.

Sierżant skinął głową na pożegnanie i odszedł. Pan Ostrowski powolnym, jakby od niechcenia ruchem ręki wlał resztkę kawy w swe usta i zabrał się do pracy.

Zanim Świerczyński dotarł na miejsce, Zły zdążył już uciec. Wezwano karetkę. Do sierżanta podeszła starsza kobieta w kremowym płaszczu.

- Panie poruczni...

- Jestem sierżantem.

- A więc, panie sierżancie! Wie pan...

- Chwila, pani godność?

- Och, racja. Danuta Wiśniewska.

- Dobrze, dziękuję, może pani kontynuować.

- *Wie pan, jak przerażona byłam? Jak groźne jest jego spojrzenie? W pewnym momencie wydało mi się, jakby z tego błotnistego, burego półmroku, z deszczu, mgły, śniegu, z tej kotłowanej szarych postaci wpiły się we mnie jakieś oczy. Teraz przypominam je sobie dokładniej... Były przeraźliwie jasne,*

jarzące się jakby same białka bez źrenic, a tak intensywnie, aż do bólu, wbite we mnie, przeświecone jakąś nieludzką mocą i pasją... straszne! Niespodziewanie zaczął bić innego człowieka, ot, bez skrupułów. Dziękowałam jedynie Bogu, że to nie na mnie przyszła Złemu chęć. Gdy już biedaczek stracił przytomność, jego napastnik nagle zerwał się do biegu. Ku memu przerażeniu, zaczął się kierować w moją stronę! Nie wiem, czy nie zauważył, czy naumyślnie, ale nicpoń wpadł na mnie, przez co upadłam! A moje stawy nie pozwalają mi już nawet na wstanie z fotela! Ale opłacił się upadek! – pani Danuta wyciągnęła z kieszeni kartkę. - Aha! Nawet chuligan nie zauważył, że to mu wypadło! - przekazała sierżantowi zmięty kawałek papieru.

Pan Świerczyński uważnie obejrzał świstek.

- Spotkajmy się pod tą wierzbą, co zawsze, gdy wszystkie promienie słońca znajdują się poza zasięgiem naszego wzroku - przeczytał sierżant na głos. - I podpis: PS.

Pani Danuta cicho jęknęła. Z przerażeniem spojrzała na papierek i, nie przemyślawszy swego ruchu ani jego skutków, błyskawicznie chwyciła go.

- Coś się stało?

- Yyy... cóż... właściwie... - twarz pani Danuty zaczęła nabierać koloru utrzymanego w ręku papierka.

- Tak?

Sierżant dopytywał, jednakże pani Wiśniewska nie była chętna do kontynuowania rozmowy. Wiedziała, że jeśli nadal będą konwersować, jej ukochana Marysia może na tym ucierpieć. Inicjały należały bowiem do pewnego chłopca, do którego dziewczę niegdyś pałało uczuciem. Przesłuchiwana obywatelka zaczęła działać Świerczyńskiemu na nerwy.

- Posłuchaj no, paniusiu! Co dzień oglądam ofiary leżące całe we krwi, nieprzytomne! Za każdym razem mają one rozwalone podbródki, rozcięte poliki, siniaki na całym ciele! - krzyczał wzburzony Świerczyński. - Jestem bezradny, co dzień myślę o tym, kim może być ten Zły!

- Przepraszam, ale nie udzielę takich informacji – powiedziała zdesperowana Danuta.

Pan Świerczyński starał się jeszcze na różne inne sposoby wydobyć wiadomości od pani Wiśniewskiej. Gdy zorientował się, że skutki jego wysiłków były znikome, poddał się i zaczął rozmowę z resztą świadków. Nie dowiedział się niczego nowego. Wszyscy zaczęli zmierzać tam, dokąd pierwotnie szli. Została tylko jedna osoba - dziennikarz Jerzy Kolanko. Powoli podszedł do sierżanta.

- Przepraszam, mógłbym zobaczyć tę wiadomość? Wydaje mi się, że kojarzę osobę o takich inicjałach.

- Tak, pewnie, proszę, każda informacja jest na wagę złota. - Sierżant podał list.

Dziennikarz spojrzał na kartkę. Zmarszczył brwi i nos. Podrapał się po głowie, po czym z wolna zaczął mówić.

- Tak, są to inicjały Pawła Szymczaka.

- Czyje?

- Widzi pan, przychodzi do mnie raz na jakiś czas młode dziewczę zwane Marysią Zakrzewską. Pewnego razu wyznała mi, że ma chłopaka, właśnie owego Pawła Szymczaka. Niestety ich rodzice nie byli za tym związkiem. Wkrótce się rozstali, a ona zaczęła przesiadywać u mnie częściej, jedząc landrynki. Wspominała wtedy czasy, gdy jeszcze byli razem. Opowiadała o bajecznych listach, które jej pisał. Mówiła o nim jak o aniele. Jeden z listów nawet mi pokazała. Rzeczywiście był on wspaniały. Nie jestem pewien, czy pismo z tego listu, co pan pokazał, jest jego. Nie pasuje mi również do ukochanego Marysi agresja i tajemniczość.

- Mógłby mi pan podać adres Pawła Szymczaka?

- Niestety nie wiem, gdzie on mieszka.

- Czy zna pan kogoś, kto mógłby opowiedzieć o tym człowieku?

- Tak.

- Czy może pan podać adres tej osoby?

- Oczywiście. Ulica Kasztanowa 8/9 mieszkania 15, mieszka tam Marysia.

- Dobrze, dziękuję. Wszelkie informacje są dla nas w tym momencie bardzo ważne. Gdyby pan sobie przypomniał jeszcze coś, to zawsze można nas znaleźć na komisariacie.

Mężczyźni skinęli głowami na pożegnanie i rozeszli się w różne strony - sierżant wrócił do komisariatu, idąc ulicą Malinową, a dziennikarz pomaszzerował w kierunku sklepu. Zaczął wchodzić powoli po schodkach. Zanim jednak wszedł do sklepu, obejrzał się jeszcze raz i spojrzął na miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu stał i oglądał bójkę. Wtedy po raz kolejny zaczął rozmyślać o tym, co się zdarzyło.

- Wydawało mi się, że znam tego gościa. *Wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat. Ale skąd ja znam tę twarz? - pomyślał znów dziennikarz. - Gdzie mi mignęła? Ma ładne zielone oczy, ale jakieś krzywe, złe. Ile takich twarzy przesuwają się codziennie przez dworce podmiejskie, domy towarowe, czwartorzędne jadłodajnie...*

- Wchodzi pan? - spytał zniecierpliwiony człowiek czekający, aż zamyślony dziennikarz się poruszy.

- Słucham? Ach tak, przepraszam, już idę.

Świerczyński, wróciwszy na komisariat, doznał potężnego szoku. Pan Ostrowski dokończył kawę za sierżanta. Świerczyński zdenerwował się.

- Mówiłem, abyś pan się trzymał z dala od mojej kawy!

- Mówił pan... ale ja tak ją lubię. Na przyszłość proszę nie zostawiać kawy sam na sam ze mną! Czego pan się dowiedział z przesłuchań?

- Znów to samo! Zmienia pan temat! Dobrze, może racja. Zajmijmy się pracą. Nie mam czasu opowiadać w szczegółach, w każdym razie muszę się udać do niejakiej Marii Zakrzewskiej. Chce się może pan wybrać ze mną?

- Nie, tradycyjnie zostanę i popilnuję komisariatu.

W tym samym czasie w mieszkaniu panny Marii przebywał Piotr Szewczyk. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o ciemnych włosach i mocno zarysowanej szczęce.

- Dziękuję, że pan wstąpił na obiad.

- Cóż... nie było żadnych przeciwwskazań, więc czemu nie?

- Właściwie, mógłby ktoś pana zobaczyć, a *od wczoraj jest pan najpopularniejszym człowiekiem w Warszawie. W najgorszym znaczeniu. "Express" został rozkupiony w mgnieniu oka i dziś ludzie się za nim uganiają. Nazywają tam pana złem warszawskich peryferii. ZŁYM człowiekiem.*

- *Bo ja jestem złym człowiekiem - rzekł w zadumie człowiek o szarych oczach - to racja.*

- *To określenie ZŁY już się przyjęło. Robią z pana na siłę ostatniego łobuza, naczelnika warszawskiego chuligaństwa...*

- *Dłatego, że z nim walczę. - Człowiek o szarych oczach uśmiechnął się chłopięco i beztrąsko. - Moi wrogowie mnie tak nazwali, to im zależy na tym, abym był ZŁY.*

- Najgorsze, że ludzie wierzą w te brednie.

- Tak jest, bo stosuję przemoc. Ale ich inaczej nie da się nauczyć! Poświęcam się, jestem uważany za Złego, ale przynajmniej może oni się zmieniać! Może dostaną nauczki!

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Gość? O tej porze? Dziwne, nie spodziewałam się nikogo. Proszę poczekać, zaraz wrócę.

Maria popatrzyła przez wizjer. Zobaczyła umundurowaną postać. Na palcach wróciła do stołu.

- Musi się pan schować - szepnęła i podeszła z powrotem do drzwi.

Odblokowała zamek i nacisnęła klamkę.

- Dzień dobry! Co pana do mnie sprowadza?

- Dzień dobry, Mirosław Świerczyński, lokalny sierżant. Zostało zarzucone pani spiskowanie ze Złym.

- Sierżant spojrzął na drobną dziewczynę nie wierząc, że mogłaby być zamieszana w te działania. - Jak się pani nazywa?

- Maria Zakrzewska.

- Zapraszam panią na komisariat.

Maria założyła płaszcz i buty. Wyszła, nie zamykając drzwi.

- Zostawia pani otwarte mieszkanie?

- Tak, kolega jest w środku. Dobrze wie, że klucze zawsze zostawiam na komodzie. - Ostatnie zdanie wypowiedziała nieco głośniej.

- W porządku, ruszajmy więc - odpowiedział sierżant, choć trochę podejrzanе wydało mu się ostatnie zdanie panny Zakrzewskiej.

Gdy tylko Świerczyński i Maria opuścili mieszkanie, Piotr Szewczyk sięgnął po klucze, które rzeczywiście znajdowały się na komodzie. Wyszedł i zamknął drzwi. Już miał w głowie plan. Musi się naradzić ze swoimi współnikami. Wtedy postanowią, co mają zrobić dalej.

Tymczasem sierżant i panna Zakrzewska dotarli na komisariat.

- Czy jest pani zamieszana w ostatnie, brutalne działania?

- Właściwie to... nie.

- "Właściwie"? - wtrącił porucznik.

- Cóż... roznoszę listy. Spotykam wtedy różnych ludzi. Wydaje mi się, że ostatnio natknęłam się na Złego.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Hm. Na początku nie pojęłam, że to on. Wyglądał na dobrego człowieka, a w gazetach piszą o nim okropne rzeczy. Wyobrażałam go sobie jako osobę o wielu bliznach na twarzy, przerażająco umięśnioną, z oczami przepełnionymi nienawiścią. Tymczasem ten człowiek o beztróskim uśmiechu był bardzo miły, jego nieskazitelne maniery wyróżniały się na tle warszawskich chłopców, a wygląd jego nie zwrócił szczególnie mojej uwagi, oprócz ślicznych, szarych oczu. Nieświadoma jego tożsamości zaczęłam rozmowę.

- Nie zachowywał się jakoś podejrzanie?

- Nie zauważyłam nic takiego.

- O czym rozmawialiście?

- Wymienialiśmy się poglądami. Na temat ogólnego wypowiedania się, Złego, rządu, ulubionego gatunku muzycznego i tak dalej.

- Ciekawe, ciekawe. Tak więc skąd pani wie, że był to Zły?

- Powiedział mi.

- Oł tak?

- Tak. Podobam mu się. Gdy mi to wyznał, stwierdził, że musi powiedzieć o czymś jeszcze.

Do komisariatu weszło trzech mężczyzn.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego! – wrzasnął jeden z nich.

- Proszę się uspokoić!

- Nie musisz tego robić, Piotruku, jeśli nie chcesz!

- Mowy nie ma! Nie zostawię cię tak. To my zawiniliśmy, więc my będziemy za to odpowiadać.

- Proszę więc opowiedzieć od samego początku.

- Ja to wszystko robię w celach wychowawczych! Po tym, jak mój brat odebrał sobie życie przez takich chuliganów, zdecydowałem, że za wszelką cenę zresocjalizuję tych knypków!

- Czy również w celach wychowawczych gonił pan dziś człowieka przez całe miasto? - spytał sierżant, nie okazując emocji.

- Nie - rzekł równie twardo ZŁY - dziś goniłem tego człowieka, by uregulować pewne porachunki. Ale te porachunki wiążą się ściśle z moją działalnością wychowawczą. Niech pan posłucha - rzekł ZŁY, kładąc rękę na blacie biurka. - Pan wie bardzo dużo o prawie, ja zaś wiem bardzo dużo o ludziach. Wie pan bardzo dobrze jak ja, że w tej chwili mnóstwo jest w Warszawie ZŁYCH ludzi. Takich złych jak ja, takich, którzy napadają, biją, awanturują się, napastują niewinnych przechodniów na ulicach z najrozmaitszych przyczyn. Nazywa się ich chuliganami, chociaż przyznam się panu, że ja nie wiem, gdzie i kiedy kończy się chuligan, a zaczyna się zwykły bandyta. Otóż chuligaństwo jest wrzodem i pan

o tym wie najlepiej. Ten wrzód leczy się rozmaitymi sposobami: większość wydaje mi się bardzo nieskuteczna. Urządza się konferencje, radzą nad tym pedagodzy, nauczyciele, psychologowie, prawnicy, milicjanci, specjaliści od świetlic i lekarze. Nie jestem pewien, czy pan o tym wie, ale każdy taki zły człowiek, każdy łobuz, chuligan, a nawet bandyta ma w życiu chwilę, kiedy chce wrócić do ludzi. Ważne jest to, że ja, człowiek prosty, nieuczony postanowiłem warszawskim chłopakom pomagać w osiągnięciu takiej chwili. Bo trzeba panu wiedzieć, sierżancie, że ten moment najczęściej przychodzi wtedy, gdy się solidnie dostanie w skórę. Kiedy chłopczyk poszoruje trochę zębami po bruku, zainkasuje kilka obcasów w brzuch i w oczy, przeleży parę dni w szpitalu, to wtedy zaczyna kombinować, że lepiej oplota się zaprzestać.

- A ci dwaj za panem?

- Piotr Sójka i Politeusz Smoliński? Cóż, oni już dawno chcieli pozbyć się tego wrzodu, ale brakowało im osoby, która by ich do tego popchnęła.

- A gdzie jest Paweł Szymczak? - spytał zdezorientowany sierżant.

- Kto taki? - zdziwili się trzej wspólnicy.

- Paweł Szymczak?! - wykrzyknęła spanikowana Maria. - O co chodzi?!

- Na początku podejrzewaliśmy właśnie jego ze względu na list podpisany inicjałami "PS".

- Zbieg okoliczności. Wszyscy trzej mamy te same inicjały, więc zdecydowaliśmy, że będziemy się tylko nimi podpisywać. Akurat Paweł Szymczak też ma takie, co spowodowało konfuzję.

- Dobrze, na wszystkie chodzące za mną pytania otrzymałem już odpowiedź. Jesteście aresztowani pod zarzutem stosowania przemocy wobec mieszkańców naszego miasta.

Obaj Piotrowie i Politeusz zostali odprowadzeni do celi.

Na warszawskich zegarach wybiła godzina piętnasta. Aleksander Ostrowski i Mirosław Świerczyński siedzieli na komisariacie. Porucznik postanowił odpocząć od porządkowania i przeglądania różnych akt i zaczął myć naczynia. Sierżant wykorzystał okazję. Pochwyił pierwszy umyty kubek i zaczął robić sobie dopiero drugą tego dnia kawę.

- Zostawiam ci przesłuchiwanie Marii i Złego... a właściwie – Złych – powiedział do porucznika.

Sam zaś usiadł przy oknie, za którym słychać było śmiechy i muzykę po raz pierwszy od czasów panoszenia się Złego na ulicach, ze swym napojem i zaczął dumać. Rozmyślenia były stałym elementem picia kawy sierżanta. Przeważnie był zmuszony główkować nad aktualnymi problemami dotyczącymi jego pracy. Dziś jednak jego umysł spowijały myśli jedynie na temat Złych, choć tę sprawę już zakończył.

- Jaki właściwie miał cel, czy kłamał na temat swych motywów? – rozmyślał Świerczyński. – Wszystko to, co czynił i mówił, jest spójne. Może jednak napadał tylko na chuliganów dla przykrywki, chcąc się wyżyć, wyrzucić z siebie emocje. Przypuszczam jednak, że nie kłamał. Szkoda więc, że nie próbował zwerbować ludzi w inny sposób, tylko uciekał się do przemocy. Koniec końców musiał trafić do więzienia. Może przynajmniej zrozumie, że źle robił.

Właśnie wypił ostatni łyk swojej kawy.

Od tamtego czasu nie widywano Złych na warszawskich ulicach, a sytuacja ucichła. Ku zdumieniu Świerczyńskiego również chuliganów zrobiło się jakby mniej. Czyżby Zły tak wpłynął na tutejszych mieszkańców?